

Jan Romanowski, ur. 1924, ale w dokumentach mam 5 V 1922 r. Urodziłem się w Wigańcach, gmina i parafia Raduń, pow. Lida. Od nas było do kościoła 7 km. Ojciec był legionistą - osadnikiem. Matka była z domu Błażko, z rodziny chłopskiej. Rodzice oboje pochodzili z kresów. Babcia ze strony ^{matki} ojca była też z Wiganców, a babka ze strony ojca była ze Składańców - to są miejscowości na Ziemi Lidzkiej. Mieliśmy z Wigańców około 20 km do Lidy. W Wigańcach było 7 osadników: Derkacz, Prokopowicz /syn Derkacza - Stanisław mieszka obecnie w Krośnie Odrzańskim - w Zielonogórskim/, leśniczy Babul /też mieszka w Krośnie Odrzańskim/, Kozakowski, Wojtkun. Dalej była wioska litewska i białoruska. Ale oni trzymali się swego gniazda; jak chodziliśmy do szkoły, to biliśmy się z nimi, bo oni mówili na nas "Wy polskie pany" i traktowali nas jak jakichś wyrzutków społeczeństwa, jak jakichś dygnitarzy .

Wioski okliczne były raczej ubogie, chaty kryte słomą, gospodarze mieli mało ziemi, po parę ha. Oni nam zazdrościli, że my mamy 25 ha ziemi. Niektórzy przychodzili latem do nas do pracy, bo na żniwa trzeba było najmować ludzi, bo sami nie dawaliśmy rady, maszyn rolniczych nie było, zboże kosiło się kosą, kobiety żęły sierpami. W naszej rodzinie były 3 siostry, rodzice i ja. Ja byłem średni. Najstarsza siostra była już mężatką, kiedy nas wywozili. Mieszkała w innej wiosce - jakieś 5 km od nas. Przyjechała do nas, kiedy nas wywozili, miała takie przecucie. Spotkaliśmy się w Raduniu, siostra płakała, najmłodszą siostrę Stasię owinęła swoją chustą-nakrywaną i przeżywała, żeby ta mała nie zamarzła.

Do szkoły chodziłem w Raduniu. Jeden z nauczycieli był oficerem w rezerwie /to był kapitan/. Dostałem kiedyś od niego linijką w łapę, bo zapomniałem się nauczyć wiersza o Piłsudskim, a to były imieniny Piłsudskiego. A on mówi tak: "...Ty, syn legionisty i wiersza nie umiesz o wodzu..." A ja miałem dużo pracy w domu, musiałem pomagać ojcu na gospodarce, pierwszą zwrotkę tego wiersza powie-

Jan Romanowski

działem, a na drugiej się zaciąłem. Ten nauczyciel często się chełpił tym, że świetnie strzelał, czasami nawet przez okno w szkole strzelał do wrony. Na święto 3 Maja zakładał mundur oficerski w stopniu kapitana, pas, pistolet i tylko chrup - chrup oficerkami po klasie. A nam się to podobało, pomyślałem, że ja też chcę być oficerem.

Pamiętam wiersz o Piłsudskim:

My dwaj Józio - ty i ja
Cała Polska ciebie zna
A mnie jeszcze nie zna nikt,
Bo ja jestem mały smyk.
Ciebie kocha kraj nasz cały,
A mnie matka, bo ja mały.

Były też piosenki o Piłsudskim, ale nie pamiętam ich. Nie pamiętam, czy byłem jeszcze w szkole, kiedy zmarł Piłsudski.

Osadnicy trzymali się razem, byli solidarni. Ci Litwini patrzyli na nas krzywo, że nam się dobrze powodziło. Każdy osadnik miał broń. Ojciec z legionów przyjechał z bronią, z koniem, z siodłem. Miał nawet karabin. Kiedyś z tego karabinu wystrzelił do wściekłego psa. Za chwilę przyjechał policjant i do ojca: "Panie Macieju, pan oddał strzał". Poznał, że to nie był strzał z pistoletu /bo ojciec miał zezwolenie na pistolet/, tylko z karabinka. Ale ojciec wyparł się, wtedy ja powiedziałem, że mamy karabin - w ulu. Ojciec poniósł symboliczną karę - posiedział tydzień w areszcie, nosiłem mu do aresztu obiady - w gminie siedział w Raduniu. Kiedy tak chodziłem tam do ojca, to policjant mnie chwalił, że jestem odważny.

Koło nas była większość ludności prawosławna. Ale cerkwi w pobliżu chyba nie było. Nie kolegowaliśmy w szkole z młodzieżą z tych rodzin litewskich czy białoruskich. Oni od nas stronili. Na przerwach rozmawiali po białorusku. Nauczyciele zwracali im uwagę, żeby w szkole rozmawiali po polsku, bo to jest szkoła polska. Nas też to denerwowało.

W szkole była religia. Religii uczył u nas nauczyciel, a ksiądz

Jan Romanowski

przyjeżdżał tylko chyba ze 2 razy na wizytację. Nauczyciel bardzo się denerwował, ale ksiądz pochwalił, że jesteśmy dobrze przygotowani. A to był ten nauczyciel bojowy - kapitan. Opowiadał raz, jak jadąc do Lidy rowerem po książki napotkał po drodze dwóch bandziorów, przestraszył ich bronią.

W pobliżu była wioska Dubińce, to były^a litewska wioska i tam ukrywał się komunista i rozsiewał hasła różne. Policja go ścigała, ale on miał w stodole bunkier pod sianem. Policja sądziła, że on siedzi w sianie, dągali w to siano, ale nie mogli go zdybać, a ulotki były co rusz powywieszane. Kiedyś jechali na rowerach trzej posterunkowi i komendant. Rozezleni, że nie mogli go pojmać, zaszli do karczmy i wypili sobie porządnie. Ja pasłem wtedy konie i paliłem ognisko. Oni położyli się koło mnie, poprosili, żebym ich popilnował. Wypali się, potem dali mi nawet pokazną sumę na cukierki za to, że ich dobrze pilnowałem.

Ludzie nie wiedzieli wiele o Rosji przed wojną, tylko ksiądz mówił na ambonie: "Ludzie, módlcie się, bo idzie ciemna chmura ze wschodu" - mówił tak okrężnie, bo bał się, żeby go nie sprzątnęli - to było już po rozbiórce Polski. A byli legionieści wiedzieli, że Rosja to wróg, że hołota, ciemnota i zacofanie. Potem ksiądz ten gdzieś zwiął.

Pamiętam wkroczenie Rosjan w 1939 roku. Przez dwa tygodnie - dzień i noc ^{bez} przerwy szło wojsko. Dziwiłem się, że mają tyle wojska. Ojciec wyjaśnił mi, że Rosja to bardzo duży^e państwo, może 12-15 razy większe od Polski. Rosjanie szli cały czas w szyku bojowym, karabiny mieli gotowe do strzału. Potem Rosjanie kazali odstawiać zboże. Wtedy ojciec nie pojechał, bo miał pracę w polu, tylko wysłał mnie. Odwiozłem to zboże do Lidy, przyjrzałem się im, a oni mnie pochwalili. Jak wojsko szło, to u nas nocowało dwóch pułkowników rosyjskich. Ojciec mój umiał czytać i pisać po rosyjsku i znał język rosyjski z czasów carskich. To mu potem ułatwiało życie. Tym

Jan Romanowski

wojskowym ojciec przygotował łożka, ale oni po żołniersku położyli się na podłodze - podłożyli siano. Warta stała pod naszymi oknami. Matka przygotowała posiłek: kiełbasy, szynki, jajek, mleka. Po posiłkach płacili 100-rublowkami, z fasonem "U nas dzieńg połnyje karmany". Ojciec na to, że pieniędzy nie potrzebuje, bo u nas gości się przyjmuje bez pieniędzy. Ale oni wyciągnęli pełne portfele pieniędzy i pochwalili się. Zapłacili i pojechali. Tylko buty mieli smarowane dziegciem i potem strasznie śmierdziało w chałupie chyba przez miesiąc.

Nie wiem, jaki był nastrój we wsiach, bo wioska była o 3 km od nas. Ale ludzie przy drodze patrzyli na nich obojętnie. Do ojca mówili, że dobrze mu się żyje i jest burżujem. Ojciec na to, że nie jest żadnym burżujem, tylko ciężko pracuje. Później ojcowie nasi rozmawiali, osadnicy schodzili się i dyskutowali o tym, co będzie - nie spodziewano się niczego dobrego.

10 lutego przyjechali NKWDziści z bagnetami na karabinach. Otworzył ojciec, skomenderowali - "ręce do góry" i zaczęli pytać o broń. Ojciec na to, że nie ma broni, ale oni żądali nadal. Potem pozwolili mu opuścić ręce, oficer wyciągnął księgę, w której miał nas popisanych - z datami urodzenia - i zaczął wyczytywać: rodziców, mnie i siostry. Odfajkował, zabronił się ruszać pod groźbą. Po dwóch godzinach przyjechały po nas sanie, zapakow^ały nas i powieziono. Nie pozwalano nam nic zabierać - tylko to, co na sobie. "Eto wsio nie twojo!" - powiedzieli ojcu. "Ja chciałem iść do spichrza po kiełbasę czy szynkę, ale mnie nie puścili. Powiedzieli: "Nie podochniesz". Powiedzieli tylko, że pojedziemy na Sybir. Nie wiedziałem, gdzie jest ten Sybir, jak daleko.

Zawieźli nas na saniach do Radunia, tam gromadzono wszystkich w poczekalni gminnej.

W chwili wywiezienia mieliśmy: dom, spichlerz, obora, stajnia, owczarnia, świniarnia - wszystkie zabudowania były na ostatni guzik,

Jan Romanowski

ojciec nawet ogrodził wszystko murem z kamieni, bo tam było bardzo dużo kamieni. Porobił eleganckie żelazne bramy, wszystko zakończył w 193⁷/ roku. Mieliśmy chyba z 9 krów, parę koni, 5-7 świń, 15-20 owiec. Nie mieliśmy jeszcze maszyn rolniczych. Na stałe nie mieliśmy zatrudnionego ani parobka ani służącej, najmowaliśmy ^{tylko} na żniwa, bo ja pomagałem ojcu, a siostry pomagały matce. Żyliśmy dostatnio, nie mieliśmy już długu, ojciec wszystko zapłacił.

Czasami przed wojną Litwini uciekali z krowami do lasu. Ojciec wytłumaczył mi, że to uciekają ci, którzy nie zapłacili podatków - dłużnikom zabierali drugą krowę. A kiedy nas wywożono, to serce się krajało - zostawiało się cały dobytek.

W Raduniu dano nam do jedzenia jakieś proso na oleju. Zobaczyliśmy, że wywożą nadleśniczych, gajowych, policjantów. Zwiezli wszystkich do gminy, potem wszystkich zawiezli na stację kolejową, załadowali na stacji do wagonów towarowych jak bydło. Spotkałem poza osadnikami m.in. Rychlewiczów - on był nadleśniczym /mieszka teraz w Olsztyńskim, za Bartoszcami/, byliśmy potem razem w Ałtajskim kraju, córka Rychlewicza pracowała potem w biurze paszportowym. Pamiętam z tamtych czasów takie zajście: pewnego razu w świetlicy wypowiedziałem się nieprzychylnie o Rosjanach - przyjechali NKWDziści, gotowi byli mnie aresztować, ale dyrektor Konowałow /on był z Charkowa/ wybronił mnie mówiąc, że jestem porządnym człowiekiem. Potem powiedział mi, że bym nigdy tak nie mówił o władzy radzieckiej, bo pójdę do więzienia. To był Żyd ukraiński, zadeklarował pomoc dla mnie.

str. B

Razem z nami wywozili też nauczycieli. Było kilku nauczycieli, ale tego mojego nauczyciela wojskowego nie widziałem. W szkole w Dubińcach były antagonizmy między Polakami i Litwinami, to ^{po pewnym} nas rozdzieliłi - chodziliśmy już do innej szkoły.

Jan Romanowski

Kiedy nas wywożono, to chciałem z tym kolegą Staszkiem uciekać. Ale potem rozmyśliliśmy się, baliśmy się, że mogliby rozstrzelać rodziców za to, że my uciekliśmy. Chcieliśmy wykorzystać do ucieczki moment, kiedy chodziliśmy po wodę i potem zwać do partyzantki.

Wiezli nas miesiąc czasu. Najgorsze było załatwianie czynności fizjologicznych - kazano załatwiać się razem kobietom i mężczyznom obok wagonu. Ale potem zrobiliśmy prowizoryczną ubikację. W Tomsku zrobili nam kąpiel, przeprowadzili dezynfekcję ubrań. Dali gorącą kolację - ^okszę z prosa na oleju - i znow załadowali i przywiezli do Nowosybirsk. Stamtąd furmankami - saniami wiezli 400 km w głąb tajgi. Jeden woźnica miał kilka sań, a konie go słuchały. Wtedy niektórzy ludzie zamarli w drodze; tego, kto zamarł, wyrzucano po prostu w śnieg. Robiło się po 100 km. Nocowaliśmy w barakach - tam były piece żeliwne i wrzątek. Jechaliśmy takimi małymi konikami. Wiezli nas 4 doby na przełaj przez rzeki i jeziora - wszystko było ^ozamrożone. Zawieźli nas do: Pyskinskij Troickij rajon, Nowosibirskaja oblast. Tam nas wyładowali, zaprowadzili do baraków i powiedzieli: "Wot wasza Warszawa, polaczki".

Baraków było może 5-7, na miejscu była piekarnia. Ugotowali nam zupę ~~ugotowaną~~ na rybie. Przez pierwsze trzy dni dali trochę cukru, a potem dawali takie cukierki zamiast cukru. W tych barakach byliśmy 3 lata. Był majster, który miał broń i jakiś sekretarz - i oni tam rządzili. Były też 2 kobiety. Oni mieszkali koło tych baraków w domkach. Mieli krowy

Byliśmy tam 3 lata, chodziliśmy tajgę piłować - wszyscy razem: i nauczyciel, i ksiądz, i każdy jeden. Potem przyjechali z Moskwy i na choma narzucali, żeby podpisać białoruskie albo litewskie obywatelstwo. Nie wiedzieliśmy nic, o wojnie z Niemcami też nie wiedzieliśmy. Nie było żadnej łączności ze światem. Niektórzy ludzie pisali na korze brzozonej listy do krewnych - kopiowym ołówkiem. Poczta tam nie docierała - nikt nie dostawał listów ani paczek.

Potem powiedziano nam, że możemy wyjechać z tego lasu gdzie indziej, tylko nie wolno być bliżej niż 2 000 km od granicy polskiej i od frontu.

Wyjechaliśmy wtedy do miasta Barnauł w Ałtajskim kraju /to była Syberia Południowa/. Tam poszedłem do pracy w młynie. Załag^dowano nas zimą ponownie na sanie, dowiezino do kolei i jechaliśmy pociągiem chyba ze 2 tygodnie. Z lasu wtedy wyjechali wszyscy Polacy. Przyjechaliśmy do Barnaułu, zaczęliśmy oglądać się za pracą. Dano nam jedną izbę na dwie rodziny - to było mieszkanie służbowe od młyna. Mieszkaliśmy z Derkaczami, ale mąż Derkaczowej zmarł już w Barnaule. Stało się to tak: Derkacz z moim ojcem poszli jednej Rosjance kopać ogródek. Ta Rosjanka upiekła chleb, wyjęła z pieca i gorącym chlebem poczęstowała. Mój ojciec nie jadł tego chleba, a on najadł się, napił się zimnego i dostał skrętu kiszek - zmarł. To chyba był Wacław Derkacz. Zostawił żonę i 3 synów: Stanisława, Wacława i Piotra i 2 córki: Jankę i chyba Marię.

Potem Derkaczowa miała do mnie pretensje, że idąc do wojska pociągnąłem też i jej syna. A ja tej Derkaczowej nieraz pomagałem i węgla podrzucałem i Staszka do roboty brałem, bo on nie był chętny do pracy. Chodziliś_my rozładowywać wagony, bo można było tak zrobić coś do jedzenia. Podrzucałem im też amerykańskie worki po cukrze - z tego kobiety szyły spódniczki /po uprzednim ufarbowaniu ołówkiem kopiowym/. Polakom pomagał Czerwony Krzyż - nie była to duża pomoc, ale przychodziła. Ja dostałem ubranie angielskie: spodnie, bluzka, jesionka, beret, rękawiczki skórzane. Było w czym chodzić.

W tajdze umarło dużo ludzi - z głodu i z chorób. Dezynteria była. W tajdze urządzano też mityngi, mówiono, żeby przyjąć obywatelstwo radzieckie. W Barnaule chciałem się zgłosić do Armii Andersa, ale major, który prowadził tę akcję zapytał, czy przed wojną należałem do "Strzelca". Ja nie należałem, byłem za młody. Nie przyjęto mnie.

Jan Romanowski

Za późno przyjechałem do Barnauku, żeby się zabrać z Andersem. Potem zaczęła się tworzyć Dywizja Kościuszkowców, to wtedy namówiłem też Staszka Derkacza i wtedy poszliśmy do wojska. P. Derkaczowa miała mi za złe, że namówiłem jej syna, ale Staszek nie chciał matki słuchać, miał taki charakter.

Moja rodzina wróciła cała do Polski - i rodzeństwo i rodzice, bo byliśmy dobrze odżywieni. Ale jedna rodzina umarła cała. To była rodzina Gryszelów. On był sołtysem - zbierał podatki. Zmarł on, żona, starszy i młodszy syn. Został przy życiu tylko średni syn - Władek. Z Władkiem spotkałem się w wojsku w łaźni polowej. Gryszele zmarli w tajdze, a on został chyba wzięty przez jakąś rodzinę. Gryszele umarli z głodu, z wycieńczenia. Oni byli słabo odżywieni już w Polsce. Gryszel nie uprawiał swojej ziemi, tylko zajmował się sołtysostwem. Zarabiał niedużo, a ziemię oddał w dzierżawę, z dzierżawy miał tylko trzecią część urodzaju. Dzieci Gryszelów jeszcze tam na kresach przybiegały do nas czasami po chleb. A kto nie był wcześniej dobrze odżywiony, zakonserwowany, to tam kipnął - z głodu, z chłodu. Jak kto miał zapas jak u borsuka, to wytrzymał, uratował się.

Mój ojciec jeszcze w tajdze załamał się psychicznie, prawie się przewracał. A ja wpłynęłem na ojca, żeby się pozbiierał. Wtedy zmieniłem sobie datę urodzenia z 1924 r. na 1922 żeby pójść do pracy z dorosłymi. Pracowałem więc razem z ojcem, podtrzymałem go na duchu, bo matka nie pracowała zawsze - siedziała z dziećmi w barakach. Mech darła w lesie początkowo i żmija ugryzła ją za palec. Wozili ją gdzieś daleko kódką i dawali surowicę, bo byłaby umarła. Potem matka złamała rękę, nie było tam fachowego lekarza, jakiś lekarzyna złożył jej tę rękę ale i wadliwie się ręka zrosła i już była kaleką. Mech kobiety darły do uszczelniania baraków, które budowano. Tę pracę wykonywały też dzieci.

W tajdze była szkoła dla dzieci. Pół baraku przeznaczono na pomieszczenie szkolne i kto chciał, to mógł się uczyć po rosyjsku.

Jan Romanowski

Ale ja się już nie uczyłem, bo pracowałem.

W Barnaulu zapisałem się do ZPP i byłem takim młodzieżowym grupowym. Wciągnąłem do ZPP wielu chłopaków i oni mnie słuchali, bo wiedzieli, że ja jestem patriotą z kości krwi i na złe nie radzę, tylko na dobre. Nieraz jak było zimno w chałupie, to kradłem ze Staszkiem drzewo z parkanu. A później, kiedy na koniu pracowałem, to i węgla czasami przywiozłem. Ale kiedy już byłem w wojsku, to matka napisała do mnie, że w wiadrze woda zamarzła na 2 cm, że zamarza, że nie ma co jeść, że nie ma za co nawet wykupić tego chleba na kartki. Wtedy poszedłem do pułkownika i powiedziałem, że rzucam broń i jadę ratować matkę, bo tam matka z głodu umiera. A on mi na to, że ja się jej propagandę, a za to grozi kryminał. A ja pokazałem list od matki. Wtedy on napisał list do Moskwy o zapomogę dla rodziny. Byliśmy w wojsku obaj z ojcem, bo ojca wzięli jako poborowego do II Armii. Wtedy do Barnaulu przyjechała komisja - na wywiad. Matka musiała pokazać listy ode mnie. Wtedy dyrektorowi kazano wydać zapomogę pieniężną, na wiosnę dostała działkę pod kartofle, nasiona i już mogła żyć.

Ale tam matkę też okradli. Żeby ona dostała wszystko, co jej było przyznane od rządu, to żyłaby tam jak pani, ale tam każdy po drodze zawsze coś ukradł dla siebie. Ja te porządki znam.

Pod wojnie zdemobilizowałem się, byłem w Berlinie ciężko ranny. Przez 4 lata jeszcze chodziłem o lasce. Nie nadawałem się do ciężkiej pracy. Przyjechałem do Paczkowa. Zająłem piękne gospodarstwo o 4 km od Paczkowa - po niemieckim pułkowniku SS. Tam byli robotnicy, kazałem im przetłumaczyć, że jeśli będą psuć maszyny, bo wszystko było zmechanizowane, to wyprowadzę na śmietnik i rozwalę. Powiedziałem, że jak będą dobrze pracować, to będą i dobrze jeść. W sobotę zawoziłem do gorzelni indyka lub gęś i od kierownika dostawałem bańkę spirytusu. Zawsze im dałem wypić. Stołowałem się razem z nimi. Matka z rodzeństwem przyjechała z transportem do Krosna Od-

Jan Romanowski

rzańskiego. Przyjechała do mnie. Ale ojciec mój osiedlił się koło Słupska, też miał gospodarstwo. Ale ojciec zwinął to gospodarstwo. Chciał być bliżej mnie. Przyjechał do Paczkowa, został wysłany na kurs palaczy do Krakowa. Był palaczem na wysokoprężnych kotłach. Pracował w szpitalu, a potem w gimnazjum. Siostra chodziła do szkoły - ta najmłodsza Stasia /teraz mieszka w Poznaniu/. Siostra ma średnie wykształcenie i skończyła studia. A średnia siostra poszła do pracy, w Barnaule uczyła się trochę rosyjskiego. Mieszka w Kąt-rzynie, tam też przyjechała nasza najstarsza siostra - ale już umar-ła.

Rosjanie jako naród nie są zli. Są gotowi podzielić się ostatnim kawałkiem chleba na pół. Tylko ten ustroj jest do kitu, on chciałby dać, ale sam nic nie miał. I to było jego wadą.